



PISMO TYGODNIOWE.

Numer pojedynczy. . Mk. **2.50**

Kwartalnie z przesyłką Mk. 25.—

Za gran. kwart. z przes. Mk. 40.—

Wiersz inseratowy. . Mk. 4.—

Zmiana adresu 1 mk.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Al. Jerozol. 21, m. 18.

Telefon 78-86.

Konto czekowe: 532.

Rękopisów nie zwraca się.

Igraszki pokojowe.

Nie pod szczęśliwą gwiazdą toczą się sławetne rokowania pokojowe Polski z Rosją. Oba państwa zaręczają, że dążą do **pokoju** nadzwyczaj poważnie i szczerze. I oba rozwijają najżywszą działalność na frontach **bojowych**... Polska, rycerskim giestem obiecała zaniechać wszelkich „agresywnych” działań podczas rokowań, pozostawiając równocześnie bolszewikom wszelką swobodę ofensyw. Rosja przelewa łyż krododyla nad „każdą kroplą krwi przelanej”, i pcha swoje dywizje do krwawo odpieranych szturmów, trwających blisko miesiąc...

A tymczasem tak wielka sprawa, jak sprawa pokoju utknęła w rezultacie na bardzo małostkowym sporze, czy traktaty muszą czy też nie śmiały odbywać się w miasteczku Borysowie. Za wszelką cenę! mówi p. Patek. Za żadną! odpowiada p. Cziczekin. Nie brak z powodu tych rażących dysproporcji sprawy wielkiej z małą, pewnej komiki humorystycznej w owym sporze o miasteczko Borysów, które nabiera w rocznikach wojny światowej rozgłosu.

Czicherin poszedł z długą skargą na Polskę aż do znienawidzonej mafji kapitalistycznej Zachodu, do Lloyda George'a do Milleranda i Nitti'ego. Patek wybrał się osobiście do Paryża, a stamtąd do San Remo ma podobno wysłać p. Piltza, któremu nie zaszkodził skandaliczny list fraternizujący z czeskim ministrem p. Beneszem napisany właśnie w chwili znęcania się tegoż Benesza nad Polakami i — nad prawdą...

Polska i Rosja skarżyć się będą u koalicji, wypychając jej gwałtem rolę — pośrednika, przyznając, że same pokoju zawrzeć nie zdolają i przyjmując przez to takie rozjemstwo i taki pokój, jaki będzie wygodnym dla koalicji. Smutno gotowa się skończyć homerycka kłótnia o sławny Borysów.

A wszystko dlatego, bo wojownicy i militaryści obu stron walczących ciągle jeszcze ludzą się nadzieją „decydującego zwycięstwa“, po którem będzie można z mieczem w ręku wobec rozbrojonego wroga „podyktować“ pokój korzystny oczywiście dla zwycięzcy.

Sztuka zawierania pokoju jest w Polsce młodszą od sztuki wojennej. Wawrzyny pokojowe jeszcze ciągle są blade i marne wobec wawrzynów bohaterów frontowych. Jakkolwiek dziwnie zachowuje się ogół polski wobec tych ostatnich bohaterów. Od miesięcy nie ma w całej polskiej opinii publicznej tygodniami całemi ani wzmianki o froncie. Od czasu do czasu jakiś oficer walczący piórem po papierze rozбивa w puch bolszewików, ale czyni to tak bez zapалу rzeczywistego, tak widocznie wskutek podniety kancelaryjno - redakcyjnej, że okres walki w niepodległej już Polsce porównać się nawet nie da z okresem początku wojny, kiedy jeszcze dążono do — Warszawy. Wówczas wojna była „popularna“, masa rozumiała ją, zakochana w wodzu, w oficerach i szeregowcach. Dziś podnieca się zapal bojowy mocno „urzędowym“ sposobem. Tego zbieracze wawrzynów wojennych nie widzą i jak gracze, czekający na grubą kartę, grają dalej wojenną grę... Ale naród, ale państwo w tak trudnych tworzące się warunkach jest stokroć większą i bardziej wielostronną rzeczą niż wojna i energia wojenna i proceder wojenny. Trudno wymagać od żołnierza zawodowego, aby przyznał potrzebę skończenia wojny. Zawsze wojna będzie dlań żywiołem najmilszym, zawsze wojna będzie go otaczała przywilejem, choćby to tylko było — jak kiedyś było w legionach — przywilej śmierci w boju, śmierci ofiarnej, bohaterskiej, w szerokiem słowa tego znaczeniu.

Nie mamy pretensji o brak zrozumienia rzeczywistego położenia kraju i narodu — ze strony generałów i oficerów, ze strony albo za młodego albo za starego militaryzmu polskiego. Ale gdzie są ci ludzie cywilni, którzyby widząc, co się dzieje w

Polsce i przewidując, jakie niespodzianki niemiłe i szkodliwe przyniesie nam może wdlanie się koalicji w naszą wojnę i w nasze traktaty pokojowe, jeżeli sami pokoju zawrzeć nie zdołamy, — gdzie są ci ministrowie odpowiedzialni przed sejmem, którzy nie mają żadnego właściwie zdania o pokoju, tak jakgdyby to naprawdę była sprawa wojskowa? Ci panowie dają się karmić najfantastyczniejszymi obietnicami ostatecznych, „decydujących“ zwycięstw, obietnicami, które słabo zniosą przymierzenie ich do strasznej rzeczywistości polskiego życia. Ci panowie zdają się nie rozumieć, że żołnierz — jeżeli wojna źle się kończy — ma przywilej umrzeć w walce, podczas kiedy panowie ministrowie żyć będą musieli wśród przekleństw, jeżeli nie mają tyle rozumu i sumienia, żeby zdać sobie sprawę z tego, czego militarysta nie rozumie i nie ma nawet obowiązku rozumieć. Kiedy czytamy różne patriotyczne gazety, w których miejsce argumentów zajmuje wiara ślepa w tego czy owego generała, wówczas chciałoby się oczy przetrzeć i zapytać, czy nie miją szósty rok wojny? Czy nie zniszczeni jesteśmy do szczytu, czy Polska nie potrzebuje pokoju jak zbawienia? I czy wolno być „opinią“, jeżeli się samemu nie ma żadnej opinii? Czy wolno tworzyć areopagi moralnego sądownictwa, skoro się samemu nie ma sumienia, ani poczucia odpowiedzialności, a wszystko, wszystko zwała na barki jednego człowieka, który gdyby dziś obłożnie zachorował, zostawiłby nagle całe gromady ludzi „inteligentnych“ bez żadnej opinii o tem, co zrobić trzeba, ba, o tem, co się dzieje w ojczyźnie i w świecie... Dziwne światło możnaby rzucić na dzisiejszy układ odpowiedzialności za pokój i wojnę w Polsce, jeżelibyśmy patrzyli na tych ministrów, polityków i dziennikarzy, którzy nie chcą wziąć na siebie nawet obowiązku pomyślenia o tem, że wojsko, że szalone wydatki na nie, że cały ten bezmiar ofiar, jakie wojna z sobą niesie i rzuca na barki narodu, że to wszystko także ich osobista sprawa, że nie wolno będzie potem bronić się, jakoby to była sprawa generałów i oficerów. Los Polski całej dzisiaj na jednej parze oczów spoczał...

Nawet ślepymi wykonawcami wojskowości nie umieją być panowie politycy cywilni w Polsce. Nie zrobią nawet porządnie choćby tego, czego potrzebuje wielka nowoczesna armja, walcząca z tak charakterystycznym wrogiem, jak bolszewicy, w warunkach tak skomplikowanych, jak np. teren ukraiński. I tu muszą w końcu generałowie naprawiać, co popsuli ministrowie i politycy i dziennikarze. Trudno zaś mieć do nich pretensje, jeżeli naprawiają po swojemu, jak umieją, lub nie umieją...

Historja niemożności zawarcia pokoju w tygodniach minionych, będzie zapewne kiedyś tematem do farsy, albo lepiej

— tragifarsy, bo wielkie, olbrzymie zadanie znalazło u steru śmiesznie małych ludzi, którzy nie chcą nawet rość wraz z wielkością zadania.

Ktoś ich kiedyś przecie za rękę, czy za kołnierz weźmie...



Czego nas uczą wypadki w Niemczech?

Mało zastanawiano się dotychczas nad rolą i znaczeniem niespodzianek w dziejach. Wprawdzie każda niespodzianka, czy t. zw. przypadek, czyniący bezpośrednio wrażenie epizodu, wyłamującego się z normalnego biegu wydarzeń, uzasadnić się da post factum, jako logiczne następstwo utajonych, lub nie dość jasno rzucających się w oczy, przyczyn — ale sposobów, w jaki przejawia się przypadek (niespodzianka) jest tak swoisty i jemu tylko właściwy, okoliczności towarzyszące mu są tak znamienne, a reagowanie środowiska tak odmiennie, że każdy bez namysłu przyzna przypadkowi cechy odrębne, wyróżniające zjawisko to od innych, nieprzypadkowych.

Wszelkie znaki na ziemi i niebie zapowiadały możliwość powrotnej fali reakcji w Niemczech; liczone się z tem, że przy najbliższych wyborach prawica zdobędzie większość parlamentarną; przypatrywano się prowokacyjnemu zachowaniu się junkrów i oficerów i ich rosnącej z dnia na dzień bucie i napastliwości; wiedzano, że niepoczytalna polityka Noskego idzie jaknajlepiej na rękę planom reakcji i wytykano mu to w prasie, przestrzegano przed fatalnym złiwem złego siewu; przewidywano nawet tu i owdzie możliwość ostrzejszego zatangu i zbrojnego wystąpienia. Ale mimo wszystko zamach z 13 marca był niespodzianką. Wystarczy wskazać, że zamach ten doszedł do skutku wcześniej, aniżeli zamierzali jego autorowie, że rząd Bauera formalnie zaskoczony został przezeń i musiał ratować się ucieczką, że ludność cała niejako zaimprovizować musiała politykę swą wobec nowego władcy Berlina, aby stwierdzić, że mamy istotnie do czynienia z niespodzianką, wywołaną tak nieprzewidywanym faktem, jak odkrycie dokumentów kompromitujących u jednego z konspiratorów — zamachowców i przyspieszenie wskutek tego samego aktu zamachu.

Przypadkowość zamachu sprawiła, że nie mógł on być należycie wyzyskany przez jego organizatorów i aktorów, ale zarazem niespodzianka zamachowa zaskoczyła wszystkie klasy i sfery, stojące poza kadrami i sympatykami zamachowców. Jak wobec katastrofy żywio-

lowej poszczególne klasy społeczne, wiedziona instynktem samozachowawczym, nie miały już czasu na rozważanie swych czynów i na chłodną ocenę położenia: instynkt klasowy, niezamącony refleksją, podyktował im ten lub inny sposób reagowania na zaszłą zmianę.

I pokazało się, że instynkt klasowy działał nieomylnie. Przyłapano zamachem in flagranti junkierstwo i wielki przemysł, mieszczaństwo i robotnicy zareagowali tak, jak im interes klasowy nakazywał, nie słuchając przywódców, albowiem nastał okres rewolucyjny, przemówiły masy. Wiemy, jak spisała się burżuazja, wiemy czego dokonali robotnicy. Chcemy wyciągnąć naukę z dziejów Niemiec za ubiegły miesiąc.

Jak się to stało, że wogóle doszło do zamachu reakcji na rewolucję i jej zdobycze? Że zamach dokonał się zbyt wcześnie, że uzewnętrzniał się w formie powstania zbrojnego — niema zasadniczego znaczenia. Faktem jest, że reakcja przygotowywała się do przewrotu, że knuła przeciwko nowym rządóm, że podkopywała się pod fundamenty nieutralizowanej jeszcze demokracji niemieckiej. A mogła to czynić tylko dzięki temu, że rewolucja 1918-go roku zatrzymała się w połowie drogi, co znowu było skutkiem zupełnego rozbicia obozu robotniczego, pławiącego się w krwi bratniej ku ucieście wrogów klasowych. Wypadki marcowe pokazały dopiero, jaką treść ma i mieć może słowo „dyktatura“ proletariatu: oto dyktatura taka możliwa była w dniach panowania proletariatu niemieckiego po klęsce wojennej i w okresie depresji burżuazji; dyktatura taka konieczna była dla zabezpieczenia zdobyczy rewolucyjnych. Zabezpieczenie zdobyczy rewolucji polegałoby przede wszystkim na rozbrojeniu elementów kontrrewolucyjnych. Nie dokonano tego, natomiast Noske właśnie uzbrajał najgorsze szumowiny reakcji, by móc zwalczać komunizm. A więc wzmocnienie reakcji jest bezpośrednim skutkiem połowiczności rewolucji listopadowej. Stąd nauka, że klasa robotnicza po zwycięskiej rewolucji zdobycze tejże utrwalić musi, t. z. musi ona zabezpieczyć osiągnięte rezultaty, obezwładniając przeciwnika, inaczej bowiem przeciwnik ten przygotowywać się będzie do odwetu. Epilogiem każdej zwycięskiej rewolucji, jeżeli ona ostać się ma, musi tedy być dyktatura zwycięskiej klasy w wyżej oznaczonem pojęciu: zabezpieczenia zdobyczy rewolucji. Dyktatura w tym znaczeniu nie jest gwałtem, albowiem jest konsekwentnym doprowadzeniem do końca dzieła rewolucji. A rewolucja nie jest gwałtem — jest przekreśleniem systemu gwałtów, który istniał przed nią i doprowadził do niej.

Oto bijąca w oczy prawda, jaką ku nauce i przestrodze proletariatu całego świata zadokumentował zamach Kappa! Symbol niedoprowadzonej do końca rewolucji — Noske — padł i paść musiał ofiarą zamachu, będącego próbą unicestwienia nawet połowicznych zdobyczy rewolucji.

Powstało jednak palące pytanie: czy robotnicy, bohaterstwo obrońcy republiki, zdolają doprowadzić rewolucję z 1918-go roku do zwycięskiego końca? Zdawało się przez chwilę, że tak. Zdawało się, że robotnicy niemieccy, nauczeni gorzkim doświadczeniem klęsk porolucyjnego okresu, porwani zapalem zwycięskiego odparcia zamachu kontrrewolucyjnego, stopią się w jedną olbrzymią armię rewolucyjną, ożywioną jednym duchem i do jednego dążącą celu. Istotnie, atak przypuszczony przez klasę robotniczą do najeźdźców junkierskich zapomocą strajku powszechnego i wszystkie żywiołowe odnuchy rewolucyjne na prowincji, świadczyły, że proletariąt zrozumiał znaczenie chwili i że gotów był urzeczywistnić rolę swą dziejową. Ale, niestety, cały szereg czynników niby łańcuchy żelazne spętał rwącą się do walki i zwycięstwa masę.

Strajk powszechny udał się nadspodziewanie. Reakcja skapitulowała. To pierwsze i decydujące zwycięstwo robotników było jednak tylko przywróceniem konstytucyjnego stanu rzeczy z czasu przed zamachem, było ocaleniem połowicznych zdobyczy rewolucji przez wysiłek robotników. Ta z powodzeniem przeprowadzona defensywa, mogła być liczyć na sympatię lub neutralność demokracji mieszczańskiej, ale inaczej rzecz się miała z chwilą, gdy robotnicy, pokonawszy reakcję, przystąpili do realizowania własnych, robotniczych żądań. Wówczas robotnicy znaleźli się w obliczu nowego wroga — całej burżuazji. By z nią nowy, zwycięski stoczyć bój trzeba było całkiem innych warunków, aniżeli te, jakie istotnie były.

Strajk powszechny okazał się znakomitą bronią w ręku robotników. Raz dlatego, że broń ta zawsze jest do usług robotników, powtóre dlatego, że w danym położeniu była najskuteczniejszym środkiem sparaliżowania i zduszenia w zarodku akcji kontrrewolucyjnej, wreszcie dlatego, że mogła liczyć na poparcie nie tylko całej masy robotniczej, ale też części mieszczaństwa. Dla przeprowadzenia strajku nie trzeba było wezwania tych lub owych partji, albowiem strajk wyrósł samorzutnie z poczucia obowiązku proletariackiego, z nakazu groźnej chwili.

Oto druga nauka, płynąca z wypadków niemieckich: **jak i kiedy można i należy stosować strajk powszechny**. Pokazało się, jak potężną bronią jest strajk powszechny, ale też pokazało się, nie poraz pierwszy zresztą, że tylko w wypadkach szczególnej wagi, do głębi wstrząsających duszą robotników, można i należy chwycić się broni strajku powszechnego. Powodzenie w takich wypadkach jest zapewnione, ale tylko wtedy.

Z chwilą, gdy strajk powszechny osiągnął swój cel negatywny (odparcie zamachu kontrrewolucyjnego) nastąpiło przesilenie w szereгах robotniczych. Samo powodzenie strajku sprawiło, że ta część robotników (nie mówiąc już o demokracji mieszczańskiej), która brała udział w strajku jedynie dla pokrzyżowania zamiarów reakcji, od-

padła. Na placu boju pozostały partje socjalistyczne, które dla uwieńczenia dzieła rewolucji, musiałyby, jak powiedziano wyżej, rozpocząć walkę z burżuazją. Ale do tego partje te nie były przygotowane. Nie były one przygotowane nie tylko dlatego, że zamach przyszedł nagle, ale dlatego, że od początku rewolucji niemieckiej, t. j. od końca 1918 roku rozbiście proletariatu socjalistycznego pogłębiało się, zamiast zniknąć. Proletariat ten, dzięki walkom wewnętrznym, osłabł wskutek znacznego upustu krwi i utraty energii, jego zdolność bojowa zmniejszała się, a gdy przyszła chwila stanowczego czynu, porwał się wprawdzie do walki i śmiertelny zadał cios reakcji monarchicznej, ale nie okazał na tyle siły i wytrzymałości, aby wolę swą narzucić burżuazji, tak, jak narzucił junkrom. Dla przeprowadzenia ofensywy robotniczej, nie dość było impulsywnego odruchu mas w postaci strajku powszechnego. Tu potrzebny był wytrawny sztab kierowników ruchu, jednolitego w zamierzeniach i czynach. A tego nie było i być nie mogło wobec rozbięcia wzajemnie zwalczających się kierunków ruchu socjalistycznego. Zamach Kappa i następujące po nim wypadki zbliżyły masy robotnicze z pod różnych znaków partyjnych, solidarność robotnicza siłą wypadków odrodziła się w ogniu wspólnej walki, by, niestety, daremnie wyczekiwać utworzenia jednego frontu proletariackiego. Partje socjalistyczne zawiodły, kierownictwo ruchu przeszło w ręce związków zawodowych, które przeprowadziły wprawdzie szereg zasadniczych żądań u mającego powstać rządu, ale nie posiadały żadnej siły, by żądania te wymóc na rządzie, w razie ich niewykonania. A żądania te wykonane nie będą. Związki zawodowe nie mogły zastąpić partji politycznych, gdyż nie leży to w zakresie ich działalności, na razie jednak wobec zupełnej bezsiły partji politycznych, uyskały, co się dało. Rozbiście partji politycznych było też przyczyną tego, że w różnych punktach kraju walka najróżnorodniejszy przybierała charakter, że ruch rewolucyjny rozbił się na mnóstwo lokalnych ruchawek, uniezależnionych od siebie i wyradzających się często w akcje anarchistyczne, lub wręcz bandyckie.

A więc trzecia nauka: **nie masz zwycięstwa klasy robotniczej, jeżeli partje polityczne, będące wyrazicielami dążeń proletariatu, nie tworzą w chwili decydującej jednego zwartego ośrodka kierowniczego ruchu, ożywionego wspólnym programem działania i zasobnego w środki gwarantujące szybkie i całkowite wypełnienie zamierzonych celów.**

Atoli mylnem jest zdanie, dające się słyszeć tu i owdzie, że klasa robotnicza w Niemczech poniosła klęskę. Nie bardziej fałszywego. W położeniu, w jakim proletariat niemiecki znajdował się w przededniu zamachu, nie mógł on kuścić się na żadne próby rewolucji. Samo odparcie zamachu reakcyjnego stanowi już świadectwo zupełnej dojrzałości politycznej proletariatu niemieckiego i drżeniącego w nim zapachu rewolucyjnego. Drugim dowodem zrozumienia możliwości

chwili było unikanie hasel komunistycznych. Czyż uratowanie republiki demokratycznej nie jest zwycięstwem robotników i wyłącznie robotników?

Powiadają, że reakcja nie jest pobita, że podniesie jeszcze łeb. Niewątpliwie, ale o ileż mniej szans powodzenia ma reakcja obecnie, aniżeli przed zamachem Kappa, lub w razie niedojścia do zamachu, aż do chwili nowych wyborów pod rządami jawnymi Noskego, a zamaskowanymi Ludendorffa i Lütwitza, lub wreszcie w razie zwycięstwa zamachu? Rząd Müllera może okazywać niedość energiczną wolę w zwalczaniu pokutującej jeszcze reakcji, ale na drogę zwalczania bezwzględnie wstąpić musi. Zresztą rząd ten niedługo już będzie u steru, nowe odbędą się wybory do parlamentu. Ale jakikolwiek będzie ich wynik, reakcja monarchiczna zapisze dzień 13-go marca 1920 roku, jako dzień klęski ostatecznej starych Niemiec przedwojennych, a Kappa zamianuje grabarzem tychże Niemiec.

Ścibor.

Chwila stanowcza: albo... albo...

II.

Istnieje obawa, że pokój umożliwi propagandę zgubnego dla Polski „bolszewizmu“, że misja czy też poselstwo Rosji sowieckiej w Warszawie będzie gniazdem agitatorów i prowokatorów, wywołujących zamęt społeczny i anarchję komunistyczną. A z tego wynika, że trzeba prowadzić wojnę jak najdłużej, aż do skutku, aż do końca.

Ale do jakiego skutku? Do jakiego końca?

W jednej z gazet wyczytałem projekt, że, nie przestając wojować i wytyżając wszystkie siły w tym kierunku, należy się odgradzić od Rosji nieprzerwanie ciągnącym się drutem kolczastym i okopami.

A więc wycofać z obiegu w życiu społecznem resztki nieużytego jeszcze żelaza, ażeby je zamienić na drut kolczasty. Oblieczono, że samym tylko drutem kolczastym, odgradzającym podczas wojny armję rosyjską od niemieckiej i austriackiej, możnaby było parę razy obwinąć kulę ziemską po równiku. Dla odgradzenia się w ten dowcipny sposób od Rosji „bolszewickiej“ armja polska musiałaby zużyć nie o wiele mniej tego cennego materiału.

Dla wytworzenia zaś prawie 2,000 (dwóch tysięcy) kilometrów okopów, mających chronić Polskę przed nawałą „bolszewizmu“, trzeba by zniszczyć z jakie tysiąc kilometrów kwadratowych ziemi urodzajnej, robiąc z niej na długie lata nieużytek do niczego.

Do takich projektów mogą dochodzić tylko głowy niepoczytalne, ogarnięte szalem niszczenia, szalem samobójstwa ekonomicznego i gospodarczego.

Powiadają, że zawarcie pokoju otworzy wrota „bolszewizmowi“, który doprowadzi Polskę do tego stanu, w jakim jest pogrążona Rosja współczesna.

Alóż propaganda gębą nigdy nie jest tak straszna, jak propaganda ze strony samego życia, propaganda faktów, propaganda rozpaczliwych warunków nędznego wegetowania. Życie, które obecnie prowadzimy, wychowuje nas w bezładzie, w zdziwieniu, w rozluźnieniu wszystkich więzi i ości społecznych.

Ani druty kolezaste, ani okopy nie stworzą zasłony nieprzemakalnej, nie zamkną nas hermetycznie od wschodu. „Idee przewrotowe“ przesączają się, a nawet wlewają się szerokimi strumieniami, pomimo wszelkich stawianych im przeszkód i przegród materialnych, a wlewają się przy współludziale wojny. Wojna jest najlepszym środkiem agitacyjnym i pożądanym sprzymierzeńcem „bolszewizmu“.

Nie zapominajmy też, że w Polsce mogą bez przeszkody działać i prowadzić propagandę zarówno komuniści, jak i nie-komuniści, zarówno „bolszewicy“, jak i nie-bolszewicy. Podobno niektórzy ze znanych agitatorów i dygnitarzy „bolszewickich“ piastują czy też piastowali dość znaczne urzędy w Polsce odrodzonej i organizującej się. Nie widziałbym w tem nic strasznego, byleby tylko warunki życia nie wytwarzały gruntu, podatnego do wszelkiej propagandy hasel przewrotowych i godzących w samo istnienie państwa i ładu społecznego.

Nazbyt zarliwie a całkiem niesłusznie reklamujemy „bolszewizm“ i „bolszewików“. Wszystko, co uważamy za zło, wszystko, co jest nam nieprzyjemne i niepożądane, podprowadzamy pod nowopowstałą kategorię „bolszewizmu“; wszystkich zaś nieponiów, szkodników i wieloimiennych zbrodniarzy nazywamy „bolszewikami“. Zapominamy, że zdawien dawna, kiedy jeszcze nikomu nie śniło się o „bolszewikach“, wszystkie te miłe objawy, zatruwające życie społeczne, kwitły i prosperowały. Przemienie „bolszewizm“, ale z nim nie przemina przypisywane mu i na jego karb wliczane swoiste sposoby wielania w życie „miłości bliźniego“ i uszczęśliwiania ludzkości.

Jeżeli mamy nazywać „bolszewizmem“ objawy rozprzężenia, egoizmu „bestji ludzkiej“, znęcania się nad umiłowanym „bliźnim“, zdzierania z niego skóry w znaczeniu prostem i przenośnem, to musimy chyba przyznać, że „bolszewizm“ został już gruntownie zaszczepiony w całym świecie wogóle, a w Polsce w szczególności. Zresztą „bolszewizm“ jest tylko prawowitym spadkobiercą i kontynuatorem wojny wszechświatowej.

Podczas wojny niszczone, palono, rabowano, gwałcono, ile się tylko dało; spadkobiercy wojny i wyznawcy moralności państwowej dokonywują w dalszym ciągu tych „czynów bohaterских“.

Młodzież, służąca w wojsku, przez same praktyki, związane z wojną, dziczeje, rozpróżniacza się i staje się niezdolną do służby społecznej w warunkach pokojowych. Dzieje się to z wielką krzywdą tej nieszczęśliwej młodzieży, ale dzieje się jednakowo po obu stronach frontu polsko-bolszewickiego, zarówno po stronie wschodniej, jako też po zachodniej.

Paskarstwo, przekupstwo, łapownictwo, złodziejstwo kwitną nie tylko w Sowdepji, ale także w Polsce i wogóle w całym świecie „cywilizowanym“.

Waluta polska stoi wprawdzie lepiej od rosyjsko-bolszewickiej, ale jestto jedynie różnica ilościowa, jedynie różny stopień upadku i zbliżania się do zera. Wojując w dalszym ciągu, zbliżymy się do waluty rosyjskiej, a może ją nawet prześcigniemy. Nie mamy więc tu powodu do naigrzania się z „bolszewików“.

Również tylko ilościowa jest różnica głodu, chłodu i drożyzny, panujących w Rosji bolszewickiej i w Polsce niepodległej. Podobno buty mają niezadługo kosztować 10.000 (dziesięć tysięcy) marek. Z zawrotną szybkością rosną ceny na wszelkie inne towary i przedmioty pierwszej potrzeby. Głód, chłód, golizna zagładają nam w oczy i wyszczerzają złowrogo zęby, o ile je posiadają. Ja osobiście z całym spokojem wyczekuję chwili, kiedy, zdarzywszy wszystkie pary butów przedwojennych i zniszczywszy wszystkie garnitury ubrania, będę musiał chodzić nago i boso, a przynajmniej w lachmanach, albo też we fraku, nadzianym na gołe ciało, bo frak mi jedynie pozostanie. Chodzenie boso samo przez się się rozumie. O sprawieniu sobie nowego odzienia, bielizny i obuwia marzyć nawet nie mogę. Pociesza mię jedynie to, że nie będę odosobniony, ale znajdę się w dobranem towarzystwie. A czyż to bardzo się będzie różniło od rozkoszy, doznawanych już teraz przez wolnych obywateli republiki komunistyczno-federacyjnej?

Nie powinniśmy też zapominać, że zależna przedewszystkiem od spadku polskiej waluty poniżej prawie wszystkich innych walut, straszna drożyzna, z jednej strony, wszelkiej pracy fizycznej, z drugiej zaś strony opału, mydła, sody i innych przedmiotów, potrzebnych do mycia się, kąpania się i prania, zmusza nas do jak najoszczędniejszego mycia się, do jak najrzadszego kąpania się, do jak najdłuższego noszenia brudnej bielizny i do jak najrzadszego zmieniania pościeli.

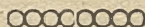
To samo widzimy dokoła siebie, w naszych mieszkaniach i całym otoczeniu. Mieszkania nie mogą być odświeżane i remontowane i są przesiąknięte brudem i zarazkami wszelkich chorób. Miejsca ustępowe na podwórzach sprawiają wrażenie wprost rozpaczliwe.

Brak niezbędnej dla zdrowia dezynfekcji i asenizacji przypomina brudy średniowieczne i jeszcze dawniejsze. Nie powinien więc nas dziwić wprost przerażający rozrost chorób epidemicznych, pochłaniających bez przerwy tysiące ofiar. Sprzyja też wzmożeniu się chorób brak lekarzy, brak lekarstw, oraz środków pomocniczych, zapobiegawczych i opatrunkowych.

Stajemy się z konieczności brudasami i niechlujami, a to zawodowe niechlujstwo nietylko usposabia nas do wszelkiego rodzaju chorób, ale także sprzyja coraz większemu upadkowi intelektualnemu i moralnemu. Staczymy się coraz bardziej na dół. Stajemy się coraz bardziej *mutum ac turpe pecus* (niemem i szpetnem bydlęciem), a, co gorsza, potęgujemy w sobie okrutniejszą od najdrapieżniejszych zwierząt *bête humaine* (bestję ludzką).

Wojując bez końca, runiemy w przepaść bez nadziei ocalenia.

J. Baudouin de Courtenay.



Rady fabryczne w Niemczech.

Przebudowa gospodarstwa społecznego w ostatniej fazie wojny i w dzisiejszej dobie powojennej, stworzyła w krajach najgłębiej wojną dotkniętych, nową formę organizacji robotniczej — Radę delegatów robotniczych.

Instytucja ta, której nazwa wywodzi się od Rady, stworzonej w r. 1905 w charakterze doraźnym i w celach wyłącznie politycznych przez robotników petersburskich, posiada dziś znaczenie wcale odmienne. Mimo tej samej nazwy, którą wszędzie bywa określana, cechy jej są nader różne i całkowicie zależne od szczególnych warunków środowiska.

Obok społecznych Rad rosyjskich, które stanowią, a raczej stanowiąc mają formę rządu, zastępującą mieszczański parlamentaryzm, a zarazem są zarządem władzy prawodawczej, wykonawczej, a nawet sądowej i równocześnie najwyższą instancją administracji gospodarstwa społecznego, istnieją wytworzone pod ich wpływem Rady innego typu, których charakter zezwala na spólistnienie ich z dotychczasowymi organami władzy państwa kapitalistycznego.

Tu wymienić trzeba przede wszystkim Rady austriackie, które w chwili upadku monarchji habsburskiej zdołały ująć w swe ręce nie-kóre gałęzi niższej administracji państwowej, a obok tego i utrwalić gdzieśgdzie swój wpływ na produkcję. Instytucje te już w założeniu swoim nie zamierzały zagarnąć całej władzy publicznej i od samego początku zdążyły do jaknajszybszej koordynacji z istniejącymi

organami administracji politycznej i gospodarczej. Poczytywać je też należy nietylko za nową formę władzy państwowej, ile raczej za nową formę ruchu robotniczego.

Rady Delegatów Robotniczych w Niemczech nie zdołały uzyskać nawet tego skromnego stosunkowo wpływu, jaki zdobyły sobie w Austrii. Stworzone w krótkim okresie niedokończonej rewolucji, zrazu pod hasłami niemal tak rozległymi, jak w Rosji, niebawem już natrafily na niepokonane przeszkody, które zmusily je do zrzeczenia się dalekich zamierzeń i skierowały do węższego, ale zato bezpośrednio dostępnego zakresu zadań administracji gospodarczej.

Równocześnie konstytucja Rzeszy Niemieckiej stworzyła pośpiesznie ku obronie mieszczaństwa mądrą przeciwwagę Rad Delegatów Robotniczych w postaci Głównej Rady Gospodarczej i Rad Gospodarczych okręgowych, złożonych z przedstawicieli kapitału i pracy. Rady Delegatów Robotniczych zostały tym sposobem skoordynowane wbrew ich woli z dotychczasowym ustrojem władzy publicznej i postawione przed alternatywą utraty wszelkiego znaczenia lub przyjęcia wyznaczonej sobie roli.

W tym stanie rzeczy zastała Rady kodyfikacja, która też uczyniła z nich — na mocy kompromisu prawicy socjalistycznej i spółrządzających sfer mieszczańskich, a przy żywym oporze lewicy robotniczej — narzędzie „konstytucji fabrycznej“, pozwalającej robotnikom ujawniać wpływ doradczy na te strony procesu wytwórczego, które dotyczą bezpośrednio ich interesów, lecz nie dopuszczającej ich w najskromniejszym choćby zakresie do współstanowienia w przedmiocie kierownictwa wytwarzaniem.

Ustawa o Radach fabrycznych z dnia 4 lutego 1920 r. obejmuje przedsiębiorstwa przemysłowe i chałupnicze oraz gospodarstwa rolne i leśne, w których pracuje stale co najmniej 20 osób.

W zakładach winny być powołane do życia Rady fabryczne, wybrane z pośród robotników i pracowników zakładu. Prawo wyborcze czynne przysługuje wszystkim robotnikom i pracownikom, bez różnicy płci w wieku powyżej lat 18. Z prawa wyborczego biernego korzystają osoby uprawnione do głosowania, w wieku co najmniej lat 24, posiadające obywatelstwo niemieckie, o ile w dniu wyborów pozostawały w danym przedsiębiorstwie co najmniej 6 miesięcy i co najmniej od 3 lat są czynne w danym zawodzie. Wybory do Rady Fabrycznej odbywają się oddzielnie dla każdej grupy pracowników (robotników i pracowników) na zasadzie stosunkowej, wszelako na mocy zgodnego postanowienia zainteresowanych dozwolone są łączne wybory do Rady Fabrycznej dla obu grup. Okres wyborczy trwa jeden rok, jednak wybory ponowne dozwolone są bez ograniczenia.

Rady Fabryczne składają się, zależnie od liczby robotników i pracowników, zatrudnionych w przedsiębiorstwie, z 3 — 30 członków.

Ustawa uwzględnia w szerokim zakresie szczególne różnice, mogące zachodzić między interesami robotników i pracowników i poleca tworzyć we wszystkich zakładach, w których istnieją Rady Fabryczne, oddzielne Rady Robotnicze i Rady Pracownicze. Instytucje te pełnią jednak czynności w charakterze niejako subsydiarnym, dla spraw obchodzących wyłącznie daną grupę pracobiorców, wszystkie natomiast sprawy wspólne należą do właściwości Rad Fabrycznych.

Uwzględnienie różnicy interesów robotników i pracobiorców znajduje również wyraz w postanowieniu, które w pewnych warunkach może w niemałym stopniu naruszać samodzielnność i powagę Rad Fabrycznych. Mianowicie w razie sporu między robotnikami a pracownikami w przedmiocie uchwały Rady Fabrycznej, powziętej we wspólnej sprawie robotników i pracowników, może zainteresowana grupa dać wyraz swemu odmiennemu pogładowi w osobnym postanowieniu i podać je do wiadomości przedsiębiorcy. Tym sposobem przedsiębiorca staje się formalnie instancją odwoławczą wobec Rady Fabrycznej, a zarazem niejako i rozjemcą między grupami pracobiorców, co trzeba oczywiście uważać za wysoce niepożądane.

Rady fabryczne opracowują same regulamin swych czynności, wszelako ustawa przewiduje w tym względzie daleko idące zabezpieczenia na korzyść przedsiębiorcy. Rady zbierają się mianowicie nie tylko z własnej inicjatywy, lecz również na wniosek przedsiębiorcy, który w takim wypadku musi być dopuszczony do udziału w obradach, a nawet może być obrany na przewodniczącego. Narusza to znowu rzecz prosta, samoistny charakter Rad, które np. w razie sporu z przedsiębiorcą mogą na jego wniosek być zmuszone do obradowania w jego obecności, a nawet skłonięne do obrania go przewodniczącym. Przedsiębiorca korzysta również z bezpośredniego wpływu na Radę, może bowiem postawić wniosek o rozwiązanie jej, z powodu naruszenia obowiązków ustawowych. Wniosek ten rozstrzyga w ostatecznej mierze Rada Gospodarcza Okręgowa, złożona z przedstawicieli kapitału i pracy, która w ten sposób staje się wobec Rad Fabrycznych niejako instancją zwierzchnią.

Na wniosek $\frac{1}{2}$ części członków Rady Fabrycznej, winni być dopuszczeni do obrad z głosem doradczym przedstawiciele związków zawodowych. Podobnie i pracodawca może żądać, by do zebrania, w którym on sam ma prawo uczestniczyć, dopuszczeni byli z głosem doradczym przedstawiciele stowarzyszeń gospodarczych, do których należy. Postanowienie to wiąże sposobem pośrednim nową instytucję Rad Fabrycznych z dotychczasowymi organizacjami zawodowymi pracodawców i robotników i pozwala na przenikanie się wpływów. Przyczyni się to niewątpliwie do ścisłego skójjarzenia Rad z całością zawodowego ruchu robotniczego i pozbawi je zarazem, przynajmniej w pierwszym okresie istnienia, charakteru nowatorskiego i bojowego.

Zakres działania Rad Fabrycznych sprowadza się mniejwięcej do działalności, istniejących już oddawna, lubo nieunormowanych ustawowo t. zw. delegacji robotniczych lub wydziałów fabrycznych. W szczególności mają Rady Fabryczne za zadanie: nadzór nad warunkami pracy w przedsiębiorstwach, dbanie o ścisłe przestrzeganie przepisów ochrony pracy i obowiązujących umów zbiorowych, rozpatrywanie zażaleń robotników i pracowników na administrację fabryczną, współdziałanie przy ustalaniu norm płacy, czasu pracy i urlopów, przy wprowadzaniu nowych metod płacy, wprowadzaniu i zmianach regulaminów pracy, interwencję w razie załogów gospodarczych, wreszcie obronę wolności stowarzyszania się robotników i pracowników.

Rady Fabryczne mają prawo reprezentacji w Radach Nadzorczych towarzystw akcyjnych, oraz prawo otrzymywania od zarządów przedsiębiorstw danych i dokumentów, dotyczących umowy pracy. Ponadto przedsiębiorcy winni składać Radom co kwartał sprawozdania ze stanu i działalności przedsiębiorstwa i danej gałęzi przemysłu, oraz w szczególności dane dotyczące oczekiwanego zapotrzebowania na siłę roboczą. W zakładach, których właściciele obowiązani są do prowadzenia ksiąg handlowych i zatrudniają stale w zakładzie co najmniej 300 robotników i 50 pracowników, mogą Rady Fabryczne żądać przedkładania sobie corocznie bilansów oraz rachunków strat i zysków.

Jeżeli w obrębie jednej gminy albo w bliskim sąsiedztwie znajduje się kilka zakładów, o łącznym celu wytwórczym, należących do tego samego właściciela, może być powołana do życia zbiorowa Rada Fabryczna, działająca obok Rad oddzielnych, albo wspólna Rada Fabryczna, działająca zamiast nich.

Rady Fabryczne pozostają w stałej styczności z ogółem robotników i pracowników za pośrednictwem Zgromadzeń Fabrycznych, które zwołuje przewodniczący Rady na żądanie $\frac{1}{4}$ części pracowników lub na żądanie przedsiębiorcy. Zgromadzenia Fabryczne mogą zwracać swe życzenia i wnioski do Rady Fabrycznej oraz wyrażać opinie o jej działalności.

Koszta, wynikające z czynności Rad Fabrycznych, winien pokrywać przedsiębiorca. Ustawa wyraźnie zabrania pobierania składek od robotników i pracowników na rzecz Rad. Przedsiębiorca jest również zobowiązany do dostarczania Radom Fabrycznym pomieszczeń na zebrania i biura oraz potrzebnych urządzeń i materiałów biurowych.

Dbalność o kompromisowy charakter Rad, wynikająca ze szczególnych warunków, w których powstała ustawa normująca ich czynności, spowodowała manifestacyjne niemal, bo w pierwszym zaraz artykule pomieszczone określenie celu Rad, którym ma być „obrona wspólnych interesów gospodarczych, robotników i pracowników, wobec pracodawcy oraz dopomaganie pracodawcy w osiąganiu celów

przedsiębiorstwa". Zgodnie z tym celem, ustawa nakłada na Rady Fabryczne obowiązek „współdziałania, celem utrzymania dobrych stosunków wzajemnych wśród robotników oraz z przedsiębiorcą, jakoteż wspierania zarządu przedsiębiorstwa radami, celem zapewnienia mu jaknajpomyślniejszego rozwoju". Prawodawca posunął się w dążności do pogodzenia interesów przedsiębiorcy z interesami robotników nawet tak daleko, że nałożył na Rady zgoła dziwaczny, a mierz i nie-możliwy do wykonania obowiązek dbania o to, „by obie strony nie stawiały żądań i nie przedsiębrały zarządzeń, któreby mogły szkodzić interesowi ogólnemu".

Rzecz prosta, że przepis ten, pozbawiony zresztą wszelkiego znaczenia praktycznego, usiłuje czynić z Rad, które z istoty swej mają być przecie powołane do obrony interesów pracy najemnej, coś w rodzaju hamulca w walce gospodarczej. Z drugiej strony trzeba przyznać, że przepis o „udzielaniu rad" przedsiębiorcom, celem najpomyślniejszego rozwoju ich zakładów, mógłby mimo swej mętnej formy, stać się jednak punktem wyjścia dla rozszerzenia wpływów Rad Fabrycznych na samą sprawę produkcji, chociażby na razie w charakterze doradczym. Wszelki bowiem wpływ bezpośredni na kierownictwo produkcją jest w ustawie całkowicie pominięty, a zatym formalnie wykluczony.

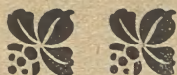
Ustawa o Radach Fabrycznych znalazła w sferach robotniczych przyjęcie zrazu nieprzyjazne. Uchwalona przy trzasku karabinów maszynowych, broniących parlamentu berlińskiego przed manifestującym tłumem robotniczym, w sali splamionej krwią rannych, których z ulicy tam wnoszono, miała na sobie od samego początku piętno walki z lewicą robotniczą.

A jednak, gdy w marcu r. b. zamach stanu Kappa zagroził na chwilę Rzeczypospolitej i gdy w obronie zdobyczy rewolucji zerwały się Niemcy robotnicze do walki z dyktaturą kapitalistyczną, jednym z naczelných haseł strajku powszechnego była obrona Rad Fabrycznych.

Zrozumiano bowiem wówczas, że ustawa o Radach Fabrycznych niweczy raz na zawsze patryarchalną samowolę przedsiębiorcy i pracę najemną czyni w pewnym zakresie — instytucją publiczną. „Konstytucja fabryczna" przestaje być dzięki niej, wynikiem dobrej woli przedsiębiorców, a staje się istotną częścią składową administracji publicznej.

Jestto oczywiście początek — skromny, ale niewątpliwy — uczy-nienia pracy podstawą zarządu państwa.

Adam Pragier.



W sprawie granic.

II.

Na drugiej zasadzie opiera się drugi kierunek — kierunek federacyjny. Jeżeli chodzi o bezpośrednie granice Polski, jest kierunek ten gotów ograniczyć się znacznie, nawet na zachód poza granice etnograficzne. Wzamian zato chciałby widzieć pośrednie wpływy polskie w postaci ośrodka potężnej federacji sięgające daleko, bardzo daleko na Wschód.

Należy tu jednak zaznaczyć, że oba wymienione tu kierunki mają w gruncie rzeczy jeden wspólny punkt wyjścia, jedno wspólne założenie — dążenie do ekspansji na Wschód. Są to dwie odrębne formy tego samego prądu historyczno - politycznego, są to dwie odrębne drogi, ale w tym samym kierunku wiodące. Jedni chcą mniejszej szerokości wpływów, a większej ich intensywności, drudzy zaś większej szerokości wpływów przy mniejszej intensywności. W obu wypadkach jest jednak wspólny mianownik — dążenie do wpływów. Naturalnie musimy się zastrzedz, że gdyby szło o ocenę moralną obu tych dróg musiałaby być ona różną. Złodziej kradnący pieniądze i człowiek pracy zarabiający na nie, stoją niewątpliwie na dwóch krańcach etycznych, choć toczy ich wspólne dążenie do pieniędzy.

Obie te formy polskiej ekspansji wschodniej napotykalają jednak na poważny opór w podstawowych faktach wyżej przedstawionych. Polityka aneksyjna jest pogwałceniem faktów etnograficznych, wymaga zniszczenia istniejących już form państwowych Litwy, Białorusi i Ukrainy, wreszcie jest sprzeczną z wolą ludności.

Polityka federacyjna dałaby się wprawdzie pogodzić z faktami etnograficznymi, wymagałaby może tylko pewnej ewolucji organizacji państwowych, ale nie da się w żaden sposób pogodzić z wolą ludności, która, nie wyłączając ludności polskiej, chce zupełnej niepodległości.

Argument aneksjonistów o potrzebie wspólnej granicy z Rosją i Rumunją jest śmieszny — jeżeli tej wspólnej granicy nie widzimy na mapie etnograficznej. Argument federalistów o odtworzeniu historycznej Litwy nie wytrzymuje równości krytyki skoro ta historyczna Litwa zamarła już w duszach jej mieszkańców.

Oto zatem kierunki polityki polskiej są sprzeczne z prawem samostanowienia narodów.

M. Niedziałkowski poddał dyskusji nowy projekt polityki wschodniej — w odniesieniu do ziem historycznych W. Ks. Litewskiego. Jest to projekt prowizorium. Liczy on na to, że część litewska zostanie niepodległym państwem, większa część obszaru białorusko-

prawosławnego dostanie się Rosji, część zaś polsko - białoruska z częścią pozostałą obszaru białorusko - prawosławnego dostaną się Polsce jako prowincja autonomiczna. W tej nowej formie współżycia dokona się dalszy proces dziejowy, który w przyszłości albo doprowadzi do federacji, albo do tryumfu myśli polskiej i całkowitej inkorporacji znacznej części tej prowincji do Polski. Białorusini zaś przeszliby powoli od autonomii przez federację do niepodległości. W ten sposób powoli dojrzałyby nowe warunki na Wschodzie północnym. Co do Wschodu południowego nie wypowiada M. Niedziałkowski ostatniego zdania. O ile jednak w rozgrywających się obecnie wypadkach okaże się, że Ukraina nie jest jeszcze w stanie utworzyć niepodległego państwa i tu należałoby zastosować podobny program, t. zn. przyłączyć Ukrainę jako prowincję autonomiczną do Polski. Przez ten okres przejściowy dokonałoby się przygotowanie Ukrainy do niepodległości, poczem mogłaby ona faktycznie nastąpić. W łonie zatem państwa polskiego odbyłoby się, jak się wyraża M. Niedziałkowski wychowanie ukraińskiej i białoruskiej niepodległości.

Koncepcja okresu przejściowego, prowizoryjum, nie jest zdaniem mojem szczęśliwą. Przedewszystkiem niema dostatecznego uzasadnienia. M. Niedziałkowski twierdzi, że kraje te są terenem niedokończonego procesu narodowościowego. Przed ukończeniem tego procesu nie może być mowy o stworzeniu trwałej budowli. A zatem możemy postawić budowlę prowizoryczną.

Argument o nierozstrzygniętym procesie narodowościowym jest jednak błędny. Niema bowiem w gruncie rzeczy ukończonych procesów narodowościowych. W istocie bowiem procesu narodowościowego leży cecha płynności, której zniknięcia oczekuje M. Niedziałkowski w swej prowincji przejściowej. I ta cecha płynności pozostanie zawsze, choćby uświadomienie narodowościowe doszło do szczytu. Spójrzmy np. na mapę etnograficzną Polski w r. 1000 i porównajmy ją z mapą dzisiejszą, a przekonamy się, że cofnęliśmy się o olbrzymie przestrzenie z Zachodu posuwawszy się równocześnie o małe obszary naprzód na Wschodzie. Są to rezultaty kilkusetletniego procesu, który się bynajmniej nie ukończył, który trwa nadal, który po dłuższym okresie czasu wykaże z pewnością nowe zmiany. I jeżeli dojdziemy w całej Europie do sprawiedliwości narodowościowej, a nie będziemy zmieniać granic w miarę dalszego rozwoju procesu narodowościowego wrócimy po pewnym czasie do okresu uciśku narodowego. Dlatego też ideałem przyszłości nie jest tylko sprawiedliwe rozgraniczenie narodów, ale również stworzenie gwarancji zmian granic w miarę zmieniania się stosunków. Gdybyśmy zatem w autonomicznej Białorusi czy Ukrainie mieli czekać ukończenia procesu narodowościowego, czekalibyśmy w nieskończoność, a prowizoryjum zamieniłoby się w stan stały. Tworzenie organiz-

mów przejściowych niema zatem uzasadnienia w ogólnych prawach rozwoju narodowościowego, naturalnie w pojęciu M. Niedziałkowskiego, gdyż do pewnego stopnia każde państwo jest formą przejściową.

Następnie należałoby się zapytać jak M. Niedziałkowski wyobraża sobie przejście z owego okresu prowizorycznego do następnego okresu stałego. Kiedy właściwie w jaki sposób nastąpi uznanie, że okres wychowawczy - niepodległościowy Białorusinów, a względnie i Ukraińców, już się ukończył, i że mogą rozpocząć już być zupełnie niepodległy? Polska jest jeszcze dotąd państwem burżuazyjnym. Czy można przypuścić, że rząd burżuazyjny zgodzi się pewnego pięknego dnia bez protestu na to, aby odłączyć od państwa wielkie, bogate dzielnice i pozwolić im na niepodległość? Sądzę, że to co M. Niedziałkowski nazywa zakończeniem procesu musiałoby być wynikiem tylko gwałtownego przewrotu. Skoro bowiem raz zaostryżymy nasz opętą trudno nam będzie potem nałożyć nań hamulec. Ewentualny rozwój niepodległościowy naszych sąsiadów musiałby zatem dokonać się przez powstanie skierowane przeciw Polsce. Mojem zdaniem i dla Polski będzie lepszym nie brać kaski, który jutro będziemy musieli oddać.

Niezrozumiałem jest również kryterjum, które M. Niedziałkowski zastosowuje do rozstrzygania sprawy ukraińskiej. Czy Ukraina będzie niepodległą odrazu, czy też ma się dopiero wychować niepodległościowo w Polsce, uzależnia N., od rozwoju najbliższych wypadków. Innemi słowy, czy proces narodowościowy, jak to mówi Niedziałkowski, już się ukończył czy nie, zależy od tego czy na polu walki Ukraina odniesie zwycięstwo, czy klęskę. Na to pojmowanie procesu narodowościowego zgodzić się nie można. Przecież i my ponosząc tylekrotnie klęski mogliśmy być posądzeni o niezdolność do życia państwowego. Musimy zastosować tu głębszy punkt widzenia. Albo Ukraina posiada tą zdolność w takim razie wynik walki faktu tego nie zmienia, albo jej nie posiada, a wtedy i orężny tryumf nie pomoże.

Dlatego też w sprawie ukraińskiej musimy wyrobić sobie sąd niezależny od wyniku walki orężnej. Jako socjaliści nie mamy żadnej przyczyny zmieniać w tej sprawie zdania. Jak dawniej, tak i teraz w chwili, która może stać się decydującą winniśmy być zwolennikami samodzielnej i niezależnej republiki ukraińskiej. Wszelka inna polityka byłaby polityką na krótką metę, która musiałaby się zemszczyć w przyszłości. Przewidywana przez N. ewentualność inkorporacyjna w stosunku do Ukrainy, choćby w formie autonomicznej, powinna zostać przez nas stanowczo odrzucona.

Wydaje mi się zatem, że koncepcja przemieniania Polski w zakład wychowawczy życia niepodległościowego dla sąsiadów przyniosłaby w rezultacie szkodę zarówno nam, jak i naszym uczniom.

Wreszcie nie należy zapominać, że ta idea prowizorjum przedstawia te same trudności, jak wspomniane poglądy inkorporacyjne i federacyjne, t. zn. że ludność dobrowolnie na to by się nie zgodziła. M. Niedziałkowski sądzi, że nastąpiłoby to drogą plebiscytu. Brak jednak argumentu dla któregooby mieszkańcy tych ziem mieli wybrać autonomiczne prowizorjum nad natychmiastową niepodległość.

Jakiż zatem winien być nasz program na Wschodzie? Zdaniem naszym bardzo prosty. Pełne urzeczywistnienie prawa samostanowienia narodów o swym losie, rozszerzenie Polski do swych granic etnograficznych i rozdzielenie terenów pośrednich między rodzinę wolnych i swobodnych narodów. Niechaj się spełni wola ludności dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, niech obszary polskie wrócą do Polski, a litewskie i białoruskie stworzą swe własne państwa w takim związku z sąsiadami jak interesa ich będą tego wymagać, niech ludność Ukrainy utrwali swą zupełną niepodległość i formę rządów. Tysiące sporów jakie wyniknąć muszą przy rozgraniczaniu nowych i starych państw rozstrzygnąć musi ta sama metoda, którą zastosowano na Zachodzie, t. zn. plebiscyt, wola mieszkańców. Oto jedyna, nowoczesna, zgodna z duchem czasu i sprawiedliwością dziejową metoda. Nie wmawiać w jedne narody, że nie dojrzały do państwowości własnej, a w drugie, że mają do spełnienia misję pedagogiczno - polityczną. Pamiętamy zbyt dobrze jak nas wychowywano do niepodległości. Nasz program wschodni powinien być wyraźnym i jasnym: dać głos ludności.

Dr. Adam Próchnik.

Jeśli kiedy na słów mych tęczobarwnym haście
Krwí kropelka wytryśnie i po kwiatów złocie
Rudą zalegnie plamą — stygmat mu zostawcie:
Tak krwawiła mi dusza w zadumy opłocie.

Jeżeli z bytu kłębka wysuną się nici
I mozaikę powierzchni przetną smugą siwą,
Wy nie prujcie natrętnych, bowiem najobficiej
Duszę moją to ciemne moiało przedziwne.

Julja Dicksteinówna.

ZOFJA WOJNAROWSKA.

R y m y.

Opetaną gwarną rzeszą
złud zamiecią, gwiazd zawieją
leczą ku mnie, śpieszą tłumnie,
na skinienie moje śpieszą,
w płasach gonią się i śmieją,
ięcze snują, błyski krzeszą.
W tamtą stronę, w ową stronę
leczą, płyną fal rozchwieją,
jak żelazo roztopione,
tak się w formy słowa leją.
Jak żywioły światła cztery
rozpędzone w takt wichrowy,
tak się wiją wkrag mej głowy,
opasując gżem chimery.
Spojrzę — stoja, skinę — leczą,
kornych rabów tłum lekliwy.
Chyżej nieco! wolniej nieco!
to przez łąki, to przez niwy!
Jako fal baranki białe
do stóp się pokornie kładą,
jak kaskady nocą błada
tańczą tańce iskier śmiałe.
Jak zboża tak się kłosa,
tak się kwieć, jako kwiaty
i pijaną tehną rozkosza,
wabiąc w sny i w inne światy.
Na canzony i fanfary,
ledwie się rozbudzą gaje...
na marsz głodnych przez rozstaje,
kiedy świt się budzi szary...
i na cichą mszę u fary...
i na łot przez Himalaje!...

A my tak poco po świecie gonimy,
c, rymy?
Poezja, w grecką spowinięta szatę,
spi, jak Hekate
i Apollina ręką czuwająca
w lirę nie trąca.
I tak was kosić, jak zboża nie będę,
gdy w wieczór siędę
nad zadumaną prasłowiańską rzeką
hen, hen, daleko!
I już wam dusza, gdy z gromadami gada,
nie będzie rada...
Bó wiedzcie... czujcie: oto się wyzwala
ze strupieszalnych obłonek narodzin,
oto się staje...
Czasem tam jeszcze dawna przejdzie fala
i o brzeg stary uderzy —
i czasem któraś z przeszłych życia godzin
piosenkę tęskną zadzwoni...
Lecz już nie mamy nic ku sobie wzajem,
o, rymy!
i tak odpycham was, jak łódź zepsuta,
o, rymy!

8, VIII 1913 r.

Drogie złote.

W Paryżu wydrukowane już złote polskie.

Tymczasem leżą one jeszcze nad Sekwaną i — tanieją. Bo opróżnienie skarbu w Warszawie dla tych złotych będzie kosztowało przeszło milion marek! A więc złote będą drogie. Tymczasem jednak złote polskie, leżąc w Paryżu — tanieją. Co za paradoksalność polskiego pieniądza!

Drogie złote będą taniemi.

H. G. WELLS.

Skradziony bakcyl.

(Przekład z angielskiego).

„To znów“, rzekł bakterjolog, wsuwając płytkę szklaną pod mikroskop, „jest preparat bakcyła cholery azjatyckiej“.

Błady człowiek spojrzał przez mikroskop. Widocznie nie był obeznany z tego rodzaju zajęciem, bo przesłaniał sobie chudą, bladą ręką jedno oko. „Nie nie widzę“, rzekł.

„Skręć pan tę śrubkę“, rzekł bakterjolog; „może mikroskop jest źle nastawiony. Czy są tak różne. Zakręć pan śrubką trochę w jedną, lub w drugą stronę“.

„A! Już widzę!“, rzekł gość. „Chociaż co prawda, nie wiele jest do widzenia. Małe pasemka i plamki czerwone. A jednak te drobnutkie cząsteczki, te atomy mogłyby się rozmnożyć i wyniszczyć miasto! Cudowne!“

Wstał i wysunawszy płytkę z pod mikroskopu, skierował ją do światła. „Zaledwie widzialne“, rzekł, przyglądając się preparatowi. Zawahał się. „Czy one są żywe? Czy są niebezpieczne?“.

„Te są zakonserwowane i zabite“, rzekł bakterjolog. „Chciałbym, aby nam się udało zgładzić wszystkie, gdziekolwiek są“.

„Przypuszczam“, rzekł błady człowiek z lekkim uśmiechem, „że nie przechowujesz pan u siebie tych bakcyli w żywym, że tak powiem, w aktywnym stanie?“

„I owszem, muszę je przechowywać“, rzekł bakterjolog. „Otu na przykład —“ przeszedł przez pokój i wziął jedną z opieczonych fiołek. „Oto bakcyl żywy. Kultura obecnie żyjącego bakcyła cholery“. Po chwili dodał: „Cholera w butelce, możnaby powiedzieć“.

Lekki przeblask zadowolenia rozjaśnił na chwilę bladą twarz gościa. „Jesteś pan więc w posiadaniu zabójczej rzeczy“, rzekł, pochłaniając małą fiołkę oczyma. Bakterjolog zauważył wyraz chorobliwej radości w twarzy swego gościa. Człowiek ten, który przyszedł do niego po południu z listem polecającym od starego przyjaciela, zainteresował go swem dziwnem usposobieniem. Rzadkie czarne włosy i głęboko osadzone szare oczy, nerwowe ruchy, ożywiony wyraz twarzy i niezwykle zajęcie się demonstracjami, odróżniały tego gościa od flegmatycznych rozważań zwyczajnych pracowników naukowych, z którymi bakterjolog stykał się najczęściej. Była więc może naturalną pokusa, ażeby słuchaczowi, objawiającemu tak wielką wrażliwość na punkcie zabójczej natury danego przedmiotu, przedstawić rzecz w możliwie efektywnym świetle.

„Tak, tak“, rzekł, trzymając fiolkę w rękę, „to uwieczona zaraza. Stłucz pan tylko taką małą fiolkę, wlej zawartość jej do wodociągu i powiedz tym żyjątkom, tak małym, że tylko zapomocą najostrożniejszego mikroskopu można je widzieć, a nie mającym zapachu, ani smaku, powiedz pan im: „Idźcie, rozmnażajcie się i zapełnijcie wszystkie studnie“, a śmierć tajemnicza, nieuchwytna, nieuchwytna śmierć, śmierć szybka i straszna, śmierć bolesna i brzydka, zawiśnie nad tem miastem i kościstą łapą chwytać będzie owe ofiary. Tu zabierze męża żonie, tam porwie matce dziecko, męża stanu oderwie od obowiązków a robotnika od pracy. Iść będzie śladem rur wodociągowych i pełzać wzdłuż ulic, wybierając tu i owdzie i karząc srodcze dom, gdzie zaniechano przegotować wodę do picia; wsiłżnie się do fabryk wody mineralnej, do miski z sałatą i zdrzemnie się w kubłach lodu. Czekać będzie w żłobie na konia i w publicznych studniach na niestrzeżone dzieci. Wsiaknie w ziemię, by potem najniespodziewaniej wytrysnąć w źródłach i studniach. Puść pan tylko tego bakcyła do wodociągu, a zanim go schwycimy i zamknjemy napowrót, zdziesiątkuje nam miasto“.

Zatrzymał się nagle. Miał świadomość, że zanadto popofolgował sobie w oratorskim zapale.

„Ale ten tu, jest zupełnie bezpieczny — zupełnie bezpieczny“, dodał trzeźwym tonem.

Człowiek o bladej twarzy podniósł głowę. Oczy mu błyszczały. Odchrząknął. „Ci lajdacy, anarchiści“, rzekł, „cóż to za idjoci, że rzucają bomby, skoro mieć mogą taką rzecz. Sądzę, że —“.

Przerwał mu lekki szelest i ciche pukanie do drzwi. Bakterjolog podszedł do drzwi i otworzył je. „Czy mogę cię prosić na minutkę“, szepnęła żona jego.

Gdy wszedł napowrót do laboratorjum, gość jego wyciągnął zegarek. „Nie miałem pojęcia, że zabrałem panu całą godzinę drogiego czasu“, rzekł, „za dziesięć minut czwarta, a miałem wyjść stąd o wpół do czwartej. Ale to rzeczy tak nadzwyczajnie zajmujące. Nie, absolutnie nie mogę zostać ani chwili dłużej. Mam się z kimś spotkać o czwartej“.

Wyszedł z pokoju, dziękując uczonemu, który odprowadził go do drzwi, poczem wrócił do swej pracowni zamyślony. Zastanowił się nad narodowością swego gościa. Z pewnością nie był to typ teutoński, ani łaciński. „Coś chorobliwego jest w nim w każdym razie!“ — rzekł bakterjolog do siebie. „Jak on się wpatrywał w te kultury zarazków chorobowych!“ Wtem niepokojąca myśl przeszła mu przez głowę. Podszedł szybko do swego biurka, potem zaczął spiesźnie przeszukiwać kleszenie, w końcu pobiegł do drzwi: „Może ja zostawiłem w hali“, rzekł.

„Mary!“, zawołał głośno.

„Co takiego?“, odezwał się głos z hali.

„Czy miałem coś w ręku, gdy mówiłem z tobą przed chwilą?”

„Nie pamiętam dobrze —”.

„Przepadł mój niebieski bakcyl!”, zawołał bakterjolog i bez tchu pobiegł przez drzwi wchodowe, po schodach na ulicę.

Mary, słysząc głośnie zatrzęsienie drzwi, pobiegła zaniepokojona do okna. Na ulicy, jakiś bardzo szczupły człowiek wsiadał do dorożki. Bakterjolog bez kapelusza i w domowych pantoflach biegł, gestykulując gwałtownie ku dorożce. Jeden pantofel spadł mu z nogi, lecz nie zważał na to. „Zwanjował!” — rzekła Mary, „to ta straszna bakterjologia pozbawiła go rozumu!”, i otworzywszy okno, chciała go zawołać. Obcy człowiek, obejrzawszy się, musiał również pomyśleć, że to warjat, bo wskazał dorożkarzowi szybko bakterjologa i powiedział mu coś; potem zapiął skórzany fartuch w dorożce, bat świsnął, koń ruszył i po chwili dorożka wraz z biegnącym za nią bakterjologiem zniknęła za rogiem ulicy.

Mary zamknęła okno i cofnęła się do pokoju. Była przygnębiona. „Zawsze był narwany”, rozmyślała; „ale tak pędzić po Londynie w skarpetkach i to w pełnym sezonie!” Wtem jakaś myśl strzeliła jej do głowy. Włożyła szybko kapelusz, zabrała bućki męża, wyszła do przedpokoju, zdjęła z haku jego kapelusz i letnią zarzutkę, stanęła na progu domu i zawołała przejeżdżającą dorożkę. „Jedź pan tą ulicą na prawo; może uda się dogonić pana biegnącego w aksamitnym tużurku i bez kapelusza”.

„W aksamitnym tużurku i bez kapelusza — dobrze, proszę pani”. Dorożkarz zaciął konia i ruszył, nie dziwiąc się wcale, jak gdyby takie jazdy odbywał codziennie.

W kilka minut później mała gromadka dorożkarzy i wyrostków, stojących obok postoju dorożkarskiego w Haverstock Hill, ujrzała ze zdziwieniem przejeżdżającą w największym pędzie jednokonkę.

Milczeli przez chwilę, poczem Tootles, okazały okaz angielskiego woźnicy, rzekł: „To był Mateusz. Co mu się stało?”

„Ale nie żałował bata, co prawda, to prawda”, rzekł parobek stajenny.

„Hallo!”, zawołał stary Tomasz; „macie drugiego warjata. Upili się czy co?”

„To był stary Wincenty. Zdaje się, że wiezie jakiegoś warjata, bez kapelusza. Nie widzieliście, że o mało nie wyskoczył z dryndy?” zauważył Tootles. „Czy też za Mateuszem tak goni?”

Grupa ludzi na postoju ożywiła się. Wołali chórem: „Dalej Wicek!” „Czy to wyścigi?” „Dogonisz go!” „A dobrze go ścignij batem!”

„Nie, dalibóg!” zauważył Tootles. „Jest i trzeci! czy się pościekali?”

„To kobieta”, rzekł parobek.

„Ona pędzi za nim“, rzekł Tootles. „Chociaż zwykle jest przeciwnie“.

„Co ona tam trzyma?“

„Wygląda to jakby kapelusz“.

„A jaka ładna!“, odezwał się Tootles, „założę się, że go dogoni“.

Mary przejechała wśród hucznych oklasków. Nie było jej to przyjemne, lecz czuła, że spełnia swój obowiązek, pędziła więc dalej, wlepiwszy oczy w plecy starego Wincentego, który w tak niezrozumiały dla niej sposób uciekał niewiedomo dokąd z jej mężem.

Człowiek w pierwszej dorożce siedział skulony z rękami założonemi i ukrytą w dłoni fiolkę zawierającą tak zgubne możliwości. Był w usposobieniu egzaltowanem z silną przymieszką trwogi. Bał się przedewszystkiem, aby go nie przychwycono, zanim dokona swego zamiaru, ale poza tem czuł też pewien lęk przed potwornością zamierzonej zbrodni. Lecz egzaltacja wzięła górę nad obawą. Żaden anarchista przed nim nie powziął tak genialnej myśli. Ravachol, Vaillaut i wszyscy inni mężowie stanu, którym zazdrościł sławy, będą niczem wobec niego. Skoro tylko uda mu się dotrzeć do wodociągu i wlać zawartość fiolki do rezerwuaru. Jak świetnie czyn swój obmyślił, sfalszował ten list polecający i dostał się do laboratorium, i jak doskonale wyczekał sposobności. Nareszcie świat dowie się o nim! Wszyscy, którzy wyszydzały go, lub traktowały go zgóry, będą nareszcie musieli uznać jego wyższość. Śmierć, śmierć, śmierć! Wszyscy się sprzysięgli przeciw niemu, teraz dopiero poznają z kim mieli do czynienia. Ale cóż to za ulica? —

Wychylił się z dorożki i ujrzał, że bakterjolog jest o jakich czterdzieści metrów za nim. To źle. Mógłby go jeszcze dopędzić. Poszukał w kieszeni i wyjął srebrną monetę; otworzył kłapę w dorożce i wsunął monetę do ręki dorożkarzowi. „Dam jeszcze, tyllko zmykaj, co sił starczy!“

„Dobrze, panie“, rzekł dorożkarz i ściągnął biczem konia. Dorożka zachwiała się, a anarchista w niemal stojącej, niewygodnej pozycji, chwycił się fartucha, by nie stracić równowagi. Przy tej sposobności mała szklana fiolka, którą wciąż ścisnął w dłoni, pękła i połowa upadła na dno dorożki. Anarchista zaklął i padł na siedzenie, patrząc z przerażeniem na kilka kropielek płynu rozlanego na skórzanym fartuchu.

Zadrżał.

„A więc! Będę pierwszym. Phi! Wszystko jedno, będę mężenikiem, i to coś znaczy. Tyllko, że to podła śmierć. Czy też naprawdę jest tak bolesna?“

Przypomniat sobie coś; pochylił się, podjął zbitą część fiolki i wypił resztę płynu. Na każdy wypadek lepiej się upewnić.

Teraz przyszło mu na myśl, że nie ma już potrzeby uciekać przed bakterjologiem. Kazał więc zatrzymać dorożkę i wysiadł. Po-

śliznął się na stopniu i miał zawrót głowy. Szybko działa ta cholera! Starął na bruku z założonemi na piersiach rękami, czekając na bakterjologa. Było coś tragicznego w tej pozie. Świadomość bliskiej śmierci dodawała mu godności. Powitał swego prześladowcę pogardliwym śmiechem. „Niech żyje anarchja! Spóźniłeś się pan. Wypilem ja. Cholera już jest w mieście!”

Bakterjolog z swej dorożki przyglądał mu się ciekawie przez okulary: „Wypileś pan! Anarchista! Teraz rozumiem”.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale powstrzymał się. Uśmiechnął się z lekka, odpiął fartuch dorożki, chcąc zejść, co widząc anarchista pożegnał go dramatycznym ruchem ręki i poszedł w stronę mostu Waterloo, starając się, aby swoją zakażoną osobą ocierać o każdego przechodnia. Bakterjolog tak był zaabsorbowany obserwacją anarchisty, że wcale nie okazał zdziwienia, gdy na ulicy zjawili się Mary z trzewikami, kapeluszem i paltem. „Jakaś ty dobra, żeś mi przyniosła te rzeczy”, rzekł, wciąż patrząc usilnie za oddalającym się anarchistą.

„Może wejdiesz”, rzekł prawie nieprzytomnie. Mary była przekonana, że naprawdę jest obłąkanym i kazała dorożkarzowi zawrócić. „Wdziac trzewiki? Zaraz; kochanie”, rzekł, a gdy dorożka ruszyła, postać oddalająca się znikła mu już z oczu. Teraz wrócił do przytomności i zaczął się śmiać serdecznie.

„Chociaż właściwie”, rzekł, „rzecz jest dość poważna. Bo widzisz, ten człowiek, który był przed chwilą u mnie, jest anarchistą. Tyllko nie zemdlej, bo nie będę ci mógł opowiedzieć końca. Otóż wiesz, chciałem mu zaimponować, nie wiedząc o tem, że jest anarchistą i pokazałem mu kulturę tego nowego bakcyła, o którym ci opowiadałem, wiesz tego, co to wywołuje niebieskie plamy u małp; i — wyobraź sobie, powiedziałem mu, że to bakcył cholery azjatyckiej. I ten warjał uciekł z fiolką, aby zatruć wodę w Londynie i byłby może Bóg wie co zafarbował na niebiesko, ale wypił płyn z fiołki. Naturalnie nie wiem dokładnie, co z tego wyniknie, ale wiesz przecie, że ten bakcył kotkę zafarbował na niebiesko i te trzy młode pieski dostały niebieskich plam, a wróbel, jaki był jasno błękitny! Ale co mnie najwięcej martwi, to to, że będę miał jeszcze raz koszta i robotę z nowym preparatem.

Mam włożyć palto? Dlaczego? Przecie ciepło na dworze. Mogłaby nas spotkać pani Jabber? Aha!... Dobrze, jeżeli ci to sprawa przyjemność...

Do niniejszego zeszytu „Trybuny” dołącza się czeki, za których pośrednictwem prosimy Szanownych prenumeratorów nadesłać brakujące 10 mk. za drugi kwartał.

TEATR.

„PYGMALJON“.

komedia w 5-ciu aktach Bernarda Shaw'a.

(TEATR POLSKI).

Przemówił do nas w ubiegłą sobotę swym specjalnym najkaptalniejszego społecznego kpiarza językiem Bernard Shaw — sit venia verbo — Szekspir czasów dzisiejszych.

Powiedział kiedyś ktoś, że szczytu góry nie widzimy, gdy stoimy zbyt niej blisko. Trzeba się nieco odsunąć.

Za blisko jesteśmy Bernarda Shaw'a. Gdy się ludzkości ukaże ten genialny pisarz i zarazem wielki człowiek w perspektywie czasu, wtedy dopiero stanie się uświęconym autorytem — wielkim. Ale może i lepiej, że Shaw nie jest jeszcze uświęcony, bo, słuchając w teatrze jego sztuk, z rozkoszą upijamy się... właśnie Bernardem Shaw'em, który działa na umysły, jak najlepsza marka szampańskiego. Shaw nas podnieca, porywa, Shaw nas zdobywa.

Shaw jest wybornym łowcą umysłów, które chwytła na wędkę swej zabójczej dylektyki. A czyni to zawsze z taką pasją, z taką premedytacją i z takim rozmachem, że wali się w gruzy gmach wszelkiego filisterstwa. Co więcej, Shaw rozwała dzisiejszą społeczność, wymierza na nią największe działa swej druzgocącej krytyki.

„Moja religia? Dobrze, moja droga. Jestem milioner. Oto moja religia“.

„Demokracja? Dzisiejsza demokracja, o to pan pyta? O, przepraszam, to — giełda, panie!

„Kochasz się? O, napij się Irish Whisky i weź indult do... gryzetki, co zresztą każdy czyni, a rzadko kto mówi.

„Bo, mój drogi Boże, przecież niema absolutnych łajdaków, są tylko ludzie społeczni i aspołeczni. A pieniądze są ważniejsze, niż wszystko inne“.

„Masz moralność? — o, moralność, to ja mam, tylko w moim stanie nie ma dla niej żadnego zastosowania.

Puszcza więc Shaw w tę dzisiejszą społeczność najzjadliwsze strzały swej satyry. Satyrą jest też wystawiony w teatrze Polskim „Pygmaljon“.

Dwa porusza w nim Shaw zagadnienia: Jedno to prawo do życia śmieciarza równorzędne z prawem profesora językoznawstwa. Prawo, które śmieciarz, ulicznik, apasz zaułków londyńskich, miżeryny, zalatujący ginem Alfred Doolittle rzuca w oczy przedstawicielowi klasy burżuazyjnej.

Rzuca, ot, tak spokojnie, w dyskursie, stanawszy na płaszczyźnie równości — moralnej, a raczej wspławszy się ponad poziom moralności mieszczańskiej, burżuazyjnej — on, niepodległy bidak.

Scena ta jest wspaniale zagrana przez p. Stefana Jaracza. Warto pójść dla tej sceny, by zobaczyć i usłyszeć.

To mówi Shaw. Gra Jaracz.

Admires les uns, les autres!

Opisuje gdzieś Huysmans żywot młodzieńca, skromnego, prostego, uczciwego, pełnego wszystkich cnót i zalet, któremu przez dwa tygodnie pozwolono spijać wyszukane wina, jeść najwykwintniejsze potrawy ze srebrnych zastaw, pieścić najdroższe, najwytworniejsze i najpiękniejsze kobiety, sypiać na cudnem łożu, słowem żyć bosko i bajecznie.

Myślicie, że po dniach czternastu żywota takiego cnotliwy a prostoty pełen młodzieniec ów chciał powrócić do poprzedniego swego bytu, wypełnionego po brzegi zaletami skromności?

O nie! raczej gotów był zamordować swą matkę lub ostatnią kochankę.

Otóż to, gdy człowiek zakosztuje życia, to się już smakowania tego nie chce za nic pozbawić.

Najlepszym środkiem rewolucyjnym, to jest właśnie — pozwolić zakosztować.

Nieszczęściem ludzkości jest nędza, którą gardzi nawet **niepodległy bidak**, gdy zakosztuje ponętniejszych rozkoszy życia, płynących z posiadania pieniędzy.

To jest zagadnienie drugie, które demonstruje Shaw na Elizie Doolittle, oczywiście demonstruje z całym przydatkiem aparatu psychologicznego.

Zdaje się, że ta rola jest stworzona dla p. Przybyłko-Potockiej, która gra z odczuciem i dużym wdziękiem, w pierwszym akcie tylko dość chropawo.

P. Bończa-Stepiński, grając Pygmaljona, stworzył typ przemysłany, wystudjowany, interesujący, typ uczonego, na premierze jednak nerwowo nie zupełnie jeszcze opanowany.

P. Buszyński, jako pułkownik Pickering, powinien stanowczo więcej grać fizjognomją, bo stworzy figurę podrzędną. A u Shaw'a wszyscy grają.

P. S. Górską i p. Biernacki swe epizodyczne role potraktowali dobrze, inteligentnie, naturalnie, żywo. Ale matka i córka (J. Muncingrowa i Z. Modrzelewska) nie grają, lecz przesuwają się przez scenę. Matka powinna pamiętać że jest lady, a nią nie jest. A przecież tak nie powinno być, panie reżyserze.

Wł. Wolert.



KRONIKA POLITYCZNA.

Credo Lenina.

Na wiosnę ubiegłego roku ukazała się książka Lenina: „**Przeciw prądowi**“, która jednak nie wzbudziła zainteresowania takiego, na jakie zasługuje. Na zasadzie doktryny Lenina, w tej książce wyłożonych, jeden z korespondentów, który się zetknął bezpośrednio z rządem Sowieków i nie ma w stosunku do niego żadnych złudzeń, zamieścił w „**Times**“ szereg artykułów, z których podajemy to, co dotyczy doktryny Lenina.

Należy się spodziewać — nadmienienia „**Times**“, że artykuły te dopomogą do rozwiązania niebezpiecznego mniemania, wciąż z zapalem podtrzymywanego przez wielu ludzi, obdarzonych niesłychanie dobrymi chęćmi, lecz najzupełniej nieświadomych rzeczy, że bolszewizm jest ściśle demokratycznym ruchem pracy o pokojowych dążeniach ustalenia wolności i przeprowadzenia reform społecznych. Sam Lenin nie dawał nigdy najmniejszego poparcia ideom ruchu, który prowadził, z wyjątkiem tego razu, gdy powołano go dla zjednania przedstawicieli rządu i ludzi, którzy odnosili się do idei jego z nienawiścią i wstrętem. W stosunku do powszechnego głosowania stał on na stanowisku najbardziej pogardliwym, zarówno jak i w stosunku do wszystkich konstytucyjnych dróg postępu. Głosił, że rząd, którego pragnie, nie może powstać w żadnym kraju szarpanym przez wojnę domową. W stosunku do „małych bourgeois-demokratów“, jak ich nazywa, żywi nieopisaną wzdargę. Zalicza do nich zrzeszenia takie, jak Angielskie Niezależne Stronnictwo Pracy, które określa jako „najnędniejszy oportunizm“, i ludzi takich, jak Renaudel, Huysmans, Albert Thomas i Henderson, których uważa poprostu za „agentów imperjalizmu Ententy“. Fabjani nie cieszą się większą łaską w jego oczach. Również i Kautsky, Ramsay MacDonald, Landsbury, a nawet Longuet, nie zważając na to, że przodkiem jego był Marx, są potępiani jako ludzie słabi, lękający się „zbrojnej walki, która jedynie rozstrzygnąć może sprawę“. Przeciwno tym wszystkim „burżuazyjnym stronnictwom pracy“, twierdzi on, „ostateczna i bezlitosna walka jest nieuniknioną“. „Żadna radykalna reforma demokratyczna“, mówi dalej, „nie może być osiągnięta w postępowym i imperjalistycznym kraju inną drogą, niż walką rewolucyjną pod sztandarem socjalizmu“. Patryotyzm uważa za zdradę wobec socjalizmu, w wojnie „reakcyjnej“ — takiej, jak wojna przeciwko Niemcom — prawdziwy rewolucjonista „nie może dopomagać pragnąć klęski własnego rządu“. W konkluzji uważał Lenin, że

jego głównem zdaniem na początku walki było „zamienienie wojny imperjalistycznej na domową“. Udało mu się to z pomocą Niemiec. Szuka teraz niecierpliwie szerszych terenów działania.

Przewidział on, że pierwszy tryumf bolszewizmu zajdzie w niewielu krajach lub w jednym tylko. Wówczas zwycięski proletarjat tego kraju „powstanie przeciwko reszcie kapitalistycznego świata“, wszędzie popychając narody do buntu, które popierać będzie orężem przeciwko „wyzyskującym“ klasom i ich rządowi. Scenarizowane zostaną siły proletariatu „do walki przeciwko narodom, które nie przyłączyły się jeszcze do socjalizmu“, gdyż „wykluczysz wojnę o socjalizm, nie może być mowy o możliwości postępu w Europie“. W marcu 1918 r. zawiadomił Lenin swoich towarzyszy, że rewolucyjna wojna jest nieuniknioną i nastawał na stworzenie silnej armji rewolucyjnej, gdyż „niedaleką jest chwila, w której stanie się rzeczywistością rewolucja międzynarodowa. Dnia 14-go marca 1918 r. oficjalne warunki pokoju rządu Lenina zostały doręczone p. Burlitt. Domagały się one, między innemi, prawa wolnego wstępu dla Rosjan do kraju państw sojuszniczych i sprzymierzonych, „pod warunkiem, że nie będą się oni wtrącać do wewnętrznej polityki tych państw“. Wtedy właśnie Lenin ostrzegał szych towarzyszy przed jakimkolwiek skłanianiem się ku zbyt wielkiemu przedłużaniu „czasu spoczynku“. Powiedział on również towarzyszowi p. Burlitt, p. Lincoln Stefensonowi, że bolszewicy są przygotowani „do rozniecenia wojny domowej w całej Europie i na całym świecie, jeśli dobro zdobyć można tylko na złej drodze siły“. Wojna taka obmyślana była oddawna. Już w 1915 r. Lenin chciał proponować pokój wszystkim walczącym pod warunkiem, że „uwolnią“ oni swoje kolonje, oraz wszystkie zależne od nich i uciskane ludy. Wiedział, że rządy na to nie przystaną. Wówczas bolszewicy zaczęli „przygotowywać i popychać ku rewolucyjnej wojnie; chcieli oni kolejno podnieść do walki „wszystkie ludy uciskane przez wielką Rosję, wszystkie kolonje i zależne „kraje Azji“ (Indje, Chiny, Persję i t. d.)“ i jednocześnie chcieli „powołać do broni cały socjalistyczny proletarjat Europy przeciwko jego rządowi“. Lenin wierzy głęboko w propagandę. „Tłumy“ — któremi wydaje się on pogardzać, „nie mogą być zdobyte“ mówi, „bez wysoko postawionego, ostrożnie stosowanego i doskonale rozwiniętego systemu pochlebstwa, kłamstwa i politycznej żonglerki“, sposoby, które, widzimy to z przykrością, przysięga przedewszystkiem Lloyd George'owi. Zgodnie z tą teorią, wschodni departament komisariatu dla spraw zagranicznych — bolszewickie biuro dla zagranicy — stworzył „Lige wyzwolenia Islamu“. Subsydjum jej wynosi, jak nam donoszą, 5 milionów złotych rubli i celem jej jest ochranianie i podtrzymywanie buntów Mahometan przeciwko rządowi europejskim.

Wśród organizacji, które się już do niej przyłączyły, są wymieniani egipcscy, indyjscy i perscy narodowcy, oraz „Patrioci Afganistańscy”. Ma ona dwa podkomitety, jeden z siedzibą w sztabie Mustaffy-Kemal-Paszy, drugi w Berlinie. Organizuje propagandę wśród Persów, Arabów i Tatarów, nawiązał stosunki w Chinach i Korei. Stworzenie departamentu z takimi celami całkowicie zgadza się z poglądami, wyrażonemi przez Lenina i dotyczącemi metody prowadzenia socjalistycznej walki i nieminiej ściśle z pewną liczbą faktów, mówiących o jego działalności na terenie państw azjatyckich, na których znaczenie zwracaliśmy niedawno uwagę. Czy wywołane one zostały przez Bolszewicki Urząd do spraw zagranicznych, czy też nie, spowodowane one zostały bezwzględnie przez wpływ bolszewizmu.

Różności.

Z emigracji żydów. „La Tribune Juive” z dn. 9 kwietnia donosi, że żydzi w panice emigrują z Bawarii.

Czy prawda? „La Tribune Juive” (z dn. 9 kwietnia) donosi również, że na wiecu strajkujących robotników socjalistyczny komitet strajkowy podżegał do ekscesów przeciwko żydom.

Tereny naftowe polskie, największe, t. j. „Fanto” zakupuje amerykański trust Standard Oil Company.

Nadesłane do redakcji.

Książki:

Niebezpieczeństwo korytarza czesko-rosyjskiego. — Konieczność granicy polsko-węgierskiej. — Co mówi o tem prasa polska? Warszawa 1920. Z 2 mapami. Str. 178.

Jest to zbiór artykułów dotyczących sprawy zaznaczonej w tytule, artykułów, które się ukazywały w prasie polskiej. Zgrupowanie takie jest bardzo pożyteczne i zapewne odda niejednemu przysługę.

Jan Skwarzeński. „Armja i naród”. Podstawy armji narodowej. Nr. 2. Biblijoteki „Rząd i wojsko”.

Edward Lipiński. „Teorie ekonomiczne Erazma Majewskiego”. Odbitka z „Przedświtu”. Warszawa 1920, str. 36.

Autór zdemaskował nieuctwo Erazma Majewskiego i całkowitą jego indolencję, połączoną z wielką zarozumiałością w wygłaszaniu sądów w dzie-

dzinie ekonomicznej. Erazm Majewski jest zdemaskowany jako nieuk i zdyskwalifikowany jako ekonomista, co niechybnie jest jeszcze jednym argumentem więcej, by zajmował profesurę na uniwersytecie warszawskim. P. E. Majewskiego, który cieszy się zgola niezasłużoną sławą — prawdopodobnie dlatego, że jest t. zw. pogromcą marksizmu — należy jeszcze zdyskwalifikować jako „uczonego“ wogóle.

Dopłata.

Od Administracji. Z powodu podrożenia cennika drukarskiego i wogóle znacznego zwiększenia kosztów wydawniczych, wskutek czego wszystkie pisma podwyższają cenę, i „Trybuna“ również jest zmuszona podnieść cenę od nowego (II-go) kwartału do

Mk. 25 z przesyłką kwartalnie.

Mk. 40 z przesyłką kwartalnie za granicę.

Prenumeratorzy proszeni są o wniesienie brakującej różnicy w opłacie.

DO PRENUMERATORÓW „TRYBUNY“.

Prosimy przysyłać należność za prenumeratę tylko za pomocą czeków Pocztowej Kasy Oszczędn., które na każde żądanie wysyła administracja „Trybuny“.

TREŚĆ Nr. 16. Igraszki pokojowe. — Czego nac uczą wypadki w Niemczech? (Ścibor). — Chwila stanowcza albo... albo... (J. Baudouin de Courtenay). — Rady fabryczne w Niemczech. (Adam Pragier). — W sprawie granic. (Dn. Adam Próchnik). — Wiersz (Julja Dicksteinówna). — Rymy (Z. Wojnarowska). — Drogie złote. — Skradziony bakcyl (nowela H. G. Wells'a). — Teatr: „Pygmaljon“ (Wł. Wolert). — Kronika polityczna: Credo Lenina. — Różności. — Nadesłane.

Administracja otwarta codziennie od g. 10—3 popoł. Redakcja od g. 3—4 pp.

Wydawca: Spółka wydawn. „Trybuna“.

Redaktor odp.: Wład. Wolert.

Odbito w drukarni „ROBOTNIKA“, Warecka 7.